

MAGAZYN KONFEKCYI DAMSKIEJ

Leona Grabowskiego w Krakowie, Plac Maryacki L. 9

róg Rynku głównego

poleca bogaty wybór okryć damskich i kostyumów bluzek
strojnych i angielskich, boa strusich i rękawiczek.

Sprzedaż materiałów na metry.

WŁASNA PRACOWNIA.

Fryderyk Mauzens.

PARYSKIE GADY.

7

— Przepraszam... — rzekła Ewa. — Stróżka mi mówiła, że nie widziała pani od wczoraj rana... Obawiałymy się, że pani może jest chora i dlatego ośmieliłam się... jako sąsiadka... przyjść zobaczyć, czy pani czego nie potrzebuje...

— Nie proszę pani, niczego... Dziękuję bardzo...

Ludwika mówiła to głosem tam słabym i z takim wysiłkiem, iż zwróciło to uwagę Ewy.

— Czy naprawdę pani niczego nie potrzebuje? — nalegała praczka.

— Nie, wszystko mam...

Brakowało jej tylko chleba, takich jednak rzeczy nie mówi się nikomu. A przytem chciała już raz umrzeć.

Ewa stała przy drzwiach niezdecydowana. Widziała wyraźnie, że panna Dubois nie mówi prawdy. Z drugiej jednak strony trudno było odgadnąć, czego potrzebuje, a gdyby się nawet i domyśliła, to nie wiedziała, jak ją skłonić do przyjęcia pomocy. Niepewność jej jednak nie trwała długo. Z piersi jej wyrwał się krzyk przerażenia. Ludwika zachwiała się nagle i padła bez sił na podłogę. Dobra jej sąsiadka, nie tracąc przytomności, wzięła, podniosła nauczycielkę i zaniósła na łóżko. Ludwika przyszła natychmiast do siebie.

— Co się stało?... — zapytała szeptem. Ach! upadłam, ale to nic...

Praczka ujrzała na stole okruszyny chleba i niedopitą szklankę wody. Wobec tych dowodów domyśliła się odrazu trybu życia swej sąsiadki.

— Proszę powiedzieć! Pani jest głodna? — szepnęła, nachylając się nad Ludwiką.

Twarz nauczycielki pokryła się rumieńcem. Miała jeszcze tyle krwi, iż mogła się zarumienić z tego, że jest głodna.

— Nie! — odrzekła.

— A ja wiem — odparła Ewa stanowczo — iż pani nie jadła nic ani wczoraj, ani dzisiaj... Przyńś mi filiżankę bulionu...

— Nie, dziękuję... Nie chcę...

Było to powiedziane głosem tak żalonym i omalątem, iż dobra praczka przez chwilę stała w milczeniu, poczem naraz wybuchła płaczem.

— Boże mój! Boże mój! — zawołała, klękając przy łóżku i obejmując Ludwikę rękami. — Jaka pani musi być nieszczęśliwa.

Młoda panna, osłabiona z głodu i nie wiedząc do brze, co się z nią dzieje, leżała bez ruchu.

— Tak — powtarza Ewa. — Czuję, że pani jest nieszczęśliwa! I dlatego mi tak przykro!

Ludwika przestała płakać, gdy zapukano do drzwi, teraz jednak na nowo polały się łzy, obfitsze, lecz nie tak już gorzkie. Nie mogła sprzeciwić się już okazywanej sobie dobroci. Nie miała zresztą już sił do opierania się czemukolwiek.

— Jak się pani nazywa? — wyszeptwała.

— Ewa Geraud.

— Ewa... — powtórzyła Ludwika.

Nie mogła jednak dokończyć. Tylko w jej szarych wielkich oczach malowało się tyle wdzięczności, iż trudno było wyrazić ją słowami. A te oczy, gdy chciały, mogły mówić tak wymownie. Nieraz patrzyły milcząco. Były wtedy tylko piękne, świetlane i jasne, lecz nieme. Potem ożywiały się na gło. Budziło się w nich życie. Nie jaśniały więcej niż przedtem, lecz rodził się w nich jakiś błysk, który z taką siłą wyrażał ukrytą myśl lub czucie, iż każdego przejmował.

— Och! — rzekła praczka. — Jaka pani jest piękna!

Teraz Ludwika była mniej piękna, niż kiedykolwiek. Na jej wychudłej i bladej twarzy ły wyłobity jakieś czerwone bruzdy. Szare oczy opromieniały tylko całą postać. Ewa zaś była więcej niż ładną, była prawdziwą, skończoną, klasyczną pięknoscia. Rysy jej były nadzwyczaj regularne, cera biała malowana, zęby małe i perłowe. Czarne jej włosy były dwa razy dłuższe, niż włosy Ludwiki. Jej czarne aksamitne oczy nie były tak wielkie jak nauczycielki i nie miały tego uroku magicznego, pobudzającego serca do żywszego bicia, świeciły się jednak i one jak dwa brylanty.

Tymczasem piękna praczka powstała i wycierała sobie łzy. Przybrała znowu wyraz stanowczości i rzekła:

— Niech pani się nie rusza, tylko czeka spokojnie!

I lekkim krokiem wybiegła szybko z pokoju.

VI.

Kaiser Wilhelm wpłynął po południu do przystani Cherbourg. Lewis Jackson, jego sekretarz i Piotr Cartelgue siedzieli w wagonie i jechali do Paryża. Miliarder i siostrzeniec jego stali na korytarzu i rozmawiali z sobą. Była godzina dziewiąta wieczorem i pociąg dojeżdżał już do stolicy Francji, gdy Lewis Jackson rzekł do swego towarzysza:

— Mam pewien projekt!

— Jakież? — zapytał Piotr.

— Nie mów nikomu, że jestem miliarderem!

— Dlaczego?

— Będziemy prowadzili śledztwo... Ja swoje o tyle swobodnie, że nikt na mnie nie będzie zwracał uwagi... nie wiedząc o moim bogactwie, nie będą się mnie obawiali...

— Ależ nazwisko Lewisa Jacksona jest znane powszechnie w Paryżu, a zna je zwłaszcza Maksym Duret, który sam się zajmuje interesami...

— Będę się też we Francji nazywał tylko Juliuszem Maixent...

— To co innego!

— Unależ, że najlepiej będzie, jeżeli zjawię się z Ameryki nie jako bogaty wujaszek, lecz jako biedny krewniak... Zdaje mi się, że zewnętrzny mój wygląd nie wielkie da świadectwo o mej zamożności.

Kto będzie oceniał Lewisa Jacksona po ubraniu, jakie miał na sobie, złe skrojonym garniturze i cienkiem paletku, nie zupełnie będzie miał wyobrażenie o jego dochodach.

Po sześciu dniach podróży, z których pięć i pół spędził przeważnie na pokładzie bez względu na pogodę, ubranie jego znalazło się w godnym politywanianie stanie. Sekretarz jego, Smith, zachodził w głowę, co mogłaby znaczyć ta dziwna i nagła zmiana w przyzwyczajeniach pryncypała. Nie śmiał się o to pytać, nawet najdyskretniej, gdyż Lewis Jackson nie należał do tych, którym można zadawać pytania dla zaspokojenia własnej ciekawości.

— Czy to jest zakład?... Wiedziałyby jednak o nim i pisały dzienniki... Może należy teraz do jakiejś sekty, może do Armii Zbawienia, która nakazuje swym członkom prowadzenie życia w ubóstwie!... Lecz i to stałoby się wiadomem... Jużby o tem pisali... I on z prozelityzmu głosiłby to powszechnie... A więc?...

Gdy po raz setny już szukał w głowie rozwiązania tej zagadki, przypatrując się jaśniejącemu w oddali milionami świateł Paryżowi, w przedziale zjawiła się naraz wysoka i szczupła postać miliardera.

— Hallo! Smith! Proszę tutaj.

Sekretarz, również wysoki i chudy jak jego

pryncypał, jednym krokiem zmierzył całą długość przedziału i znalazł się odrazu na środku korytarzyka.

— Dla pana, panie Cartelgue — rzekł businessman — i dla wszystkich, kogo tylko poznamy, będę się nazywał teraz Julianem Maixent.

— Julian Maixent?

— Tak!

— Jak się to pisze?

Miliarder powtórzył swe nazwisko litera po literze.

— *All right!* — odrzekł Smith.

— To już wszystko.

Sekretarz wrócił do przedziału, siadł w kącie i zamyślił się znowu nad rozwiązaniem zagadki, która coraz bardziej się komplikowała. Pociąg zagłębiał się w tunel dworca Saint-Lazare i w minutę potem stanął na peronie. Wagony otworzyły się i publiczność zaczęła spieszyć do wyjścia. Piotr wyprzedził wszystkich. Lewis Jackson musiał biec za nim, by go dogonić.

— Dokąd idziesz? — zapytał miliarders.

— Do Dureta.

— Nie trzeczając się nawet o mnie? Wstrzymaj się! Pozwól mi zrobić samemu tę wizytę!

— Dlaczego?

— Bo brak ci, mój chłopcze, zimnej krwi.

— Mnie?

— Ma się rozumieć! Och! masz jej dosyć przy kierowniku samochodowym... Wiem o tem... Zakrety jednak na drodze życia są trudniejsze od tych, jakie spotykasz, kierując samochodem... Zrobisz mi więc tę przyjemność, iż powrócisz do siebie i będziesz mnie oczekiwał w domu...

Piotr nie opierał się. Lewis Jackson mówił spokojnie, głosem cichym, lecz tonem, który nie dopuszczał protestów.

Młody człowiek zapytał jednak:

— Czy nie mógłbym, zamiast powracać do siebie, iść do Ludwiki?

— Nie wiesz, gdzie mieszka.

— Odszukam ją...

— A gdy ją znajdziesz?

— Powiem jej...

— Nie jesteśmy jeszcze zupełnie pewni jej niewinności — przerwał Lewis Jackson. — Wierzmy, nie możemy jednak twierdzić stanowczo, że jest niewinna.

— A więc?

— Na razie więc nie możesz nic przedsiębrać i dlatego nie powinienes jej się pokazywać... W przeciwnym bowiem razie powtórzy znowu: „Stałam się ofiarą ohydnych podstępów“! A co ty jej na to odpowiesz?

— Że wiem o tem!

— Powtarzam ci znowu, że przecie nie jesteś zupełnie o tem przekonany!

— Nie mogę jej jednak powiedzieć, że wątpię...

— Właśnie! Powinienes więc siedzieć spokojnie! I dlatego radzę ci, byś odłożył na później to spotkanie! Roztropność jest często największym dowodem odwagi, jaki człowiek może dać i o nic innego, tylko o to cię teraz proszę... Jeszcze raz powtarzam, wracaj do domu...

Piotr poddawał się wpływowi Lewisa Jacksona. Ucisnął na znak zgody rękę, którą mu podał miliarders i zapytał:

— A wuj dokąd idzie?

— Dokąd ty chciałeś iść.

— Do Dureta?

— I do pani de Lagunan... Do widzenia!

Businessman ucisnął znowu silnie rękę młodego człowieka i zawołał swego sekretarza, który stał o kilka od nich kroków.

— *Hallo!* Smith! niech pan każe przenieść na-